

Od autora: Przedstawiam tekst zainspirowany barową prozą jednego z zasłużonych użytkowników PP. Z dedykacją dla Mike'a i Smukłego Steve'a.

- Miał na imię Jimmy. I był cholernym twardzielem.

Willy Szklaneczka w końcu przemówił. Bez żartów, dwa zdania wypowiedziane w przeciągu półtorej godziny to niewątpliwy sukces, zwłaszcza że widziałem, jak strasznie nosi go do powiedzenia jakiejś historii. Odwróciłem głowę. Nie wiedziałem, czy zwracał się do mnie czy może do barmana. Facet za ladą niewzruszenie polerował szklanki, co jakiś czas podając drinki lub oznajmiając kolejnym klientom należność do zapłacenia, więc wyglądało na to, że ta bajka wcale go nie interesuje. Nawet nie próbował okazywać aprobaty. Ani razu nie spojrzał w kierunku gościa naprzeciwko, nie obdarzył przelotnym chociaż spojrzeniem, nie kiwnął głową. Rozlewał alkohole, mruczał kwoty i polerował szklanki, tak w kółko. Z drugiej strony Willy też nie próbował nawiązać ze mną żadnego kontaktu. Wyglądał jak stały bywalec tego typu miejsc: amator szkockiej, przeciwnik fraków, człowiek szepczący do szkła. W pewnym momencie naprawdę uwierzyłem, że rozmawia ze szklanką, gdy jego głos stawał się coraz cichszy, a jedyną oznaką życia były szybko znikające obłoczki pary na błyszczącej ścianie naczynia. Cały bar wydawał się tajemniczy, sprawiał wrażenie nawiedzonej karczmy, gdzie rzeczywistość nieustannie walczy z krainą niespokojnego snu o monopol na wrażenia. Ludzie nie siedzieli na krzesłach, lecz jakby unosili się w powietrzu, kołysani jego kojącymi falami. Nikt na nikogo nie zwracał uwagi. Grupki osób przy okrągłych stolikach sęczyły piwo bez żadnej, najmniejszej formy dialogu, sporadycznie wyrzucając z siebie krótkie wyrazy, prawie nieświadomi własnej obecności. Barman obsługiwał klientów, chociaż pojedyncze sylaby padające z jego ust szły gdzieś ponad głowami zebranych, bardziej do żyrandola niż do konkretnego człowieka. Na scenie jakaś kobieta wraz z kilkoma muzykami roztaczała wokół siebie aurę sentymentów i dziwnej, niewytłumaczalnej tęsknoty, niczym Julee Cruise w serialu Davida Lyncha. Miło było posłuchać w końcu czegoś wartościowego; miałem dość lalusiowatych kolesi w obcisłych białych koszulkach śpiewających „Eeoooo, zostawiłaś mnie, Uuoooo, nie mogę spać, Uchhhh, stoję na balkonie obwieszony łańcuszkami, myśląc tylko o tobie, ee jeje” w rytmie prymitywnej perkusyjnej przygrywki i trzech akordów na krzyż. Jak ci źle, to skacz, koniecznie na główkę, ale błagam, przestań pieprzyć! Tutaj miałem niebywałą przyjemność posłuchania prawdziwej muzyki. Tonacje durowe przechodziły w molowe, molowe w durowe, głos drobnej brunetki płynął wśród milczących stolików, par tańczących na niewielkim parkiecie obok, zgarbionych mężczyzn pochylonych nad własnymi drinkami naprzeciwko barmana. To miejsce tętniło życiem, choć pozornie wyglądało jak zapomniany przez Boga przytułek dla zagubionych dusz. Wśród obitych ciemną boazerią ścian unosiła się lekka mgiełka wspomnień, obrazów zbyt kruchych, by licytować się na nie z kolegą obok, zbyt intymnych, by mówić o nich głośno, zbyt ważnych, by przejść nad nimi do porządku dziennego czy zapomnieć. Historie wszystkich tych ludzi roznosiły się wraz z dymem papierosowym, zbierały w ciężkie chmury i spadały telepatycznym strumieniem. To nie był przytłaczający deszcz, wręcz przeciwnie; przyjemnie spowalniał, dawał upust wszystkim emocjom, które na co dzień z premedytacją tłumimy, walcząc o pełne portfele, władzę, zapchane brzuchy, nasycone ego, pozycję w tym ludzkim społeczeństwie – jakbyś w mentalnej wędrówce szlakiem swego dotychczasowego życia trafił na zapomniany wiejski trakt prowadzący do uczuć wyższych, pierwotnego bastionu człowieczeństwa sprzed ery telefonów, komputerów czy Internetu, jakby ta dawno nieuczyszczana ścieżka zachwyciła słońcem przebijającym się przez rozłożyste gałęzie drzew, śpiewem ptaków, miękkością trawy, kojącym szumem wiatru. W przydrożnym barze „Broken Doors” położonym na tyłach miejscowego motelu czułem się jak nigdy dotąd, niby obcy, lecz zaakceptowany przez milczące mury, trwający w odprężającym zawieszeniu.

- Taa... był pierdolonym twardzielem – mruknął raz jeszcze Willy, znowu gadając do szklanki. Tak na-

prawdę to nie miałem pojęcia, jakie jest jego imię, ale ten przydomek idealnie do niego pasował. Kurde, a już prawie o nim zapomniałem.

Po krótkim namyśle postanowiłem zmienić miejsce stacjonowania. Z wieloletniego doświadczenia wiedziałem, że dialog z pijanymi ludźmi mógł się skończyć bójką... lub wspólnym zalewaniem pały. Po każdej opcji strasznie bolała głowa. Nie o to mi dzisiaj chodziło. Chciałem ślamazarnie wysączyć drinka, później jak cywilizowany wędrowiec wrócić do obdartych z wszelkich uczuć pokojów motelowych, włączyć telewizor, zasypiając w akompaniamencie gangsterskiego filmu i seksualnych uniesień jakiejs parki z pomieszczenia obok. Tak byłoby najlepiej, najprościej, według scenariusza. Robi się ciemno, więc szukam miejsca na nocleg. Wynajmuję kącik na jedną lub kilka nocy, gdy muszę dorobić trochę forsy, wieczorami odwiedzam pobliskie bary, gdzie po zachodzie słońca czas dosłownie zatrzymuje się w miejscu, a siedzący wewnątrz wędrowcy pływają w powstałym oceanie retrospekcji, tęsknot, rozczarowań – wszystkim tym, co parę godzin wcześniej przejechali kołami swoich motocykli lub samochodów. W pewnym sensie jest to masochizm. Zostawiałem za sobą mnóstwo miejsc, ludzi, fragmentów nieuchwytej rzeczywistości, niewykorzystanych okazji, pozwalałem im krztusić się w oparach spalin, by później roztrząsać je na nowo przy kieliszku czegoś mocniejszego. Popadałem w senne rozmarzenie, dorzucając do ogólnej chmury widmowych głosów i obrazów część swojej niewypowiedzianej historii, mój własny wkład w odurzający klimat wieczornych posiadówek. Nigdy też nie wracałem dwa razy w to samo miejsce, nawet jeśli jakaś miścina zatrzymała mnie na kilka dni; w pozostałe wieczory po prostu leżałem przed telewizorem, oglądając nocne pasma niskobudżetowych horrorów lub odwiedzałem inną knajpę, nie wdając się w zbędne znajomości. W przeciwnym razie ktoś mógłby mnie skojarzyć; barman, jakiś pijaczyna, nowo poznana kobieta... ktokolwiek. To dlatego przydrożne bary mają w sobie ten urok. Zawsze przekraczam próg kolejnego lokalu ze świadomością, że to pierwsza i ostatnia wizyta. Nigdy więcej nie ujrzę Tego Barmana, nie potrzynam w dłoniach Tej Szklanki, nie porozmawiam z Tą Kobiętą. Dla człowieka drogi słowa „miło cię znowu widzieć” brzmiałyby jak wyrok, gwałt na jego wolności, zaprzeczenie sensu traktowania życia zdartymi oponami samochodu. Dla człowieka drogi nie ma znanych twarzy, miejsc powrotu, bezpiecznych przystani. Jest tylko asfalt, dłonie zaciśnięte na kierownicy, wskaźnik stanu paliwa, Pustka i to wspaniałe uczucie, że za kolejnym zakrętem też jest jakiś obcy świat. Chyba dlatego uznałem, iż nie ma sensu wysłuchiwać opowieści jakiegoś miejscowego przyjemniaczka, lepiej będzie zabrać szklankę z drinkiem i usiąść w ciemnym kącie sali, gdzie posłucham filigranowej kobietki przy mikrofonie albo zwyczajnie przypatrzę się twarzom zamyślonych ludzi, obserwując dręczące ich problemy niczym komiksowe chmurki. Spróbowałem bujnąć się w lewo na obrotowym krzeselku, lecz Willy wysunął nogę, blokując mi możliwość manewru. Jego ruch był raczej dyskretny, przemyślany, jakby od początku przewidywał taki obrót spraw, lecz w atmosferze ogólnego spowolnienia wydawał się skandaliczny, barbarzyński; próba pogwałcenia odwiecznego spokoju tego miejsca. Na szczęście nikt z zebranych nie zwrócił na nas uwagi, więc mogłem odetchnąć z ulgą. I wiedziałem już, że facet mówił do mnie, chyba że akurat wtedy musiał rozprostować kości, co raczej nie wchodziło w grę. Wróciłem do pierwotnej pozycji bez zbędnych pytań.

- Od zawsze miał pod górkę, jakby Bóg umieścił go na swoim czole, a potem non stop rozdrapywał, jak pieprzonego pryszczę – zaintonował mój gawędziarz, puszczając powoli nogę.

Mimowolnie nadstawiłem ucha. Sam do końca nie wiem dlaczego. W pewnym stopniu atmosfera baru wyczuliła moje zmysły, pozwoliła na krótki czas wrócić do uczuć, które w ciągu dnia skrzętnie ukrywam w ciężkiej mentalnej skrzyni – empatii, współczucia, zainteresowania drugą osobą. W jakiś sposób również polubiłem mojego wieczornego towarzysza. Wiedział, jak postawić na swoim. Mimo tępego wpatrywania się w szklankę wzbudził moją uwagę, choć powiedział zaledwie kilka nie znaczących zdań. Ile było na świecie facetów o imieniu Jimmy? Ilu z nich miało w życiu przesrane? Na pewno wielu. Pod tym względem świat przypominał ogorzałą twarz nastolatka tuczonego sztucznym cukrem, zjełczałym olejem i innym ściierwem; globalne wysypisko wykolejeńców, gdzie pryszcz pryszcz pryszczem poga-

nia. A jednak zostałem, wiedziony nieśmiałą przepowiednią ciekawej historii, żalosego pocieszenia, że ktoś ma gorzej ode mnie, możliwością usłyszenia opowieści o człowieku, który z lawiny porannych myśli zaraz po przebudzeniu wybiera przeważnie wulgaryzmy okraszone soczystymi wykrzyknikami. No i najważniejsze: gość przy barze potrafił opowiadać - w przeciwnym razie szarpnąłbym obrotowym krzeselkiem, mając gdzieś kulturę. Mówił spokojnym, niskim głosem, niczym wytrawny lektor wprowadzający widza w fabułę ciekawego filmu, umiejętnie dostosowywał siłę słów do atmosfery panującej w środku – był słyszalny, lecz ani trochę nie zagłuszał muzyki, szurania krzesłami czy stukotu butelek od piwa. Gdybym spotkał takiego faceta na ulicy, wziąłbym go za przeciętnego pijaczka; zarośnięty, z przetłuszczonymi długimi włosami, twarz usiana kilkoma małymi bliznami, nieobecne spojrzenie, znoszone (choć względnie czyste, na pewno nie śmierzące) ubrania. Tutaj ten sam dżentelmen urósł w moich oczach do rangi barda, posłańca opowieści o brudnych porachunkach między Bogiem a człowiekiem. Pchany prymitywną ludzką ciekawością zamówiłem kolejną szklaneczkę whisky z lodem. Po chwili dostałem zamówiony trunek. Zespół właśnie kończył koncert. Nie otrzymał braw, w takim miejscu klaskanie w dłonie uchodziło na naruszenie porządku publicznego, czyn karany kopniakiem w dupsko i wyrzuceniem za drzwi. Wokalistka zeszła ze sceny, z łagodnym uśmiechem kroczyła między stolikami, zbierając dolary i pomruki aprobaty od klientów. Również byłem słuchaczem, więc gdy podeszła do mnie, podziękowałem za miło spędzony czas; uśmiechem, uściskiem dłoni, banknotem. Kobieta powiedziała, iż za tydzień prawdopodobnie znów zagrają. Szkoda, że nie będę miał okazji tego zobaczyć. Ten lokal naprawdę mi się podobał. W swoim prywatnym rankingu przyznałem mu osiem na dziesięć gwiazdek. Takim wynikiem mogły się pochwalić co najwyżej trzy knajpy, a tu przecież nie było striptizerek.

- Zналиśmy się od małego – podjął temat Willy Szklaneczka, kiedy zespół na dobre zawinął manatki, a klienci włączyli szafę grającą. Chris Isaak śpiewał o dniu rozdania świadectw. – Była z nas niezła paczka: ja, Jimmy, Owen, Gareth i Vince. Czterech i pół człowieka. Do dzisiaj na wspomnienie tego stwierdzenia dostaję gęsiej skórki. W młodości nie przejmowaliśmy się takimi kwestiami. Każdy z nas lubił żartować, a Jimmy... Chryste, ten typ był kopalnią optymizmu. Urodził się bez prawej nogi powyżej kolana, matka przez całą ciężę kopała jak smok, gasząc pety w kieliszkach od wódki, a on sam w wieku pięciu lat przeżył pożar, więc już za młodu wyglądał jak synalek Frankensteina, jakby jego stara zamiast wody wykapała go w kwasie i wytarła papierem ściernym. Miasteczkowe pośmiewisko, gość do bicia, wyszydzania, czyszczenia podeszwy butów. Cholerny pechowiec.

Przestałem bujać szklanką. Albo wypilem za dużo, albo zbyt wyraziście wyobraziłem sobie wizerunek sześciolatka z poparzoną skórą, protezą wciśniętą w prawe udo, nękanego przez astmę i inne poporodowe powikłania. Żołądek wpadł w niebezpieczne drgawki, przełknięcie ostatnich kropel whisky nagle wydało mi się karkołomnym zadaniem. Czułem własne wnętrzości tańczące twista, jedzenie podchodzące do gardła, a przede wszystkim żal, cholernie wielki żal do świata, który powołał do życia takie dziwadło, pozabawiając złudzeń na normalny żywot. Dlaczego nie wyszedłem, póki jeszcze miałem czas? Zawory współczucia puściły, nie sposób było utrzymać ich w ryzach. Pustka nie będzie zadowolona.

- A Jimmy jeszcze z tego żartował – zachnął się Willie – skubaniec. Gdy mieliśmy po kilkanaście lat, żartował, że wali konia tylko lewą ręką, bo inaczej proteza spada mu z nogi, że nie wie, czy bardziej kocha Winstony czy inhalatory, oraz że nie przypała się papierosa od płomienia z kuchenki gazowej w stanie upojenia. Było nam głupio, wszystkim bez wyjątku. Staraliśmy się uśmiechać razem z nim, lecz nie potrafiliśmy. Bo jak tu śmiać się z brakujących kończyn czy nieodpowiedzialnych rodziców, gdy masz przed sobą pieprzone monstrum? Szybko pojęliśmy, że Jimmy ma więcej wiary w ludzi niż my wszyscy razem wzięci. Prawdę mówiąc, gównu nam to pomogło. Nadal nie umieliśmy stanąć przy nim bez mimowolnego wzdrygania się, wciąż mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Czasami chcieliśmy, by do zestawu pechowca dołączyć mu jeszcze upośledzenie umysłowe. Wtedy nie patrzyłby na nas tym przenikliwym wzrokiem, zupełnie jakby czytał nam w myślach. O tak. Jimmy był bystrym gościem. Bystrym i dobrym. Dobrym i... no, zajebistym. Rodzice zostawili go niedługo po pożarze, tłumacząc się kilkudnio-

wym wyjazdem. Najpierw wyjechali do rodziny, później opuścili miasto, a Jimmy błakał się od domu do domu. Po dziesięciu latach policja ich odnalazła. Matka została prostytutką, zdejmowała majtki za parę dolców, byle tylko mieć na kolejną działkę. Któregoś dnia patrol znalazł ją w zaułku na przedmieściach, pobitą na śmierć. Ojciec wyjechał do Vegas, sprzedał nerkę, przepuścił pieniądze w kasynach. Skończył w ryszotku, dusząc się własnymi wymiocinami. A nasz przyjaciel nadal ich kochał, tłumaczył, że przecież są jego rodzicami, że należy im się szacunek. Słowo daję, wsadziłbym tej kurwie kij baseballowy w dupę i wypuścił przez usta, ojca udusiłbym fałszywymi banknotami, pchał papierki, aż wylazłyby nosem. Vince z Garethem mieli kilka ciekawszych pomysłów, Owen wstrzymywał się od głosu, choć wszyscy widzieliśmy, że nieźle by nas zaskoczył. Ale nie Jimmy. On próbował patrzeć na sprawy z różnych perspektyw, szukać niuansów w oczywistościach. Mówił, że póki nie rozliczy się osobiście z Bogiem, nie będzie wydawał prywatnych osądów. I nie wydawał. W końcu był inteligentnym gościem, wysoko mierzył. Dobrze się uczył, nie sprawiał problemów wychowawczych, podobno poszedł na [STUDIA](#) , został posadę w lokalnej gazecie, chciał zostać pisarzem. Nie jestem pewien tych ostatnich wieści. Nikt z naszej starej paczki nie jest. Po szkole Jimmy przeniósł się do innego stanu, prosił, byśmy nie próbowali się z nim skontaktować, mówił, że będzie dla nas cholerną kotwicą. Załatwione. To okazało się prostsze, niż myśleliśmy. Każdy poszedł w swoją stronę, nawet nie wiedząc kiedy. Bliska przyjaźń okazała się znajomością, znajomość niejasnym wspomnieniem, nawet te ostatnie z czasem wyblakły. Stało się jasne, że to Jimmy spajał naszą paczkę. Ten skurczybyk trzymał mnie, Vince'a, Owena i Garetha razem. Kiedy zniknął, coś w nas umarło, jakaś część młodszej naiwności pękła. Uświadomiliśmy sobie straszliwą prawdę: ilekroć jeden wpadał do drugiego w odwiedzin, rozmowy prawie zawsze kręciły się wokół Jimmy'ego; u kogo teraz posiada, co porabia, jaką książkę przeczytał, czy nie potrzebuje pomocy, co możemy dla niego zrobić. Ech.

Słuchałem opowieści jak zahipnotyzowany. Do moich uszu dochodziły dźwięki muzyki, lecz za cholerę nie powiedziałbym, kto i co śpiewał. Do tego stopnia zaabsorbowany byłem historią tej niezwyklej przyjaźni, że przestałem nawet liczyć, którego drinka piję. Głowa ciążyła coraz bardziej, senność powoli wkradała się przez półprzymknięte drzwi umysłu, lecz nie mogłem oderwać myśli od opowieści Szklanego Willy'ego. Oczyma wyobraźni próbowałem sobie wyobrazić wspomnianego pechowca; nogę w protezie, poparzoną skórę, chudego człowieka wyniszczonego przez życie w swej najbardziej perfidnej postaci, a mimo to uśmiechniętego. Willy przerwał moje rozważania. Chwała mu za to.

- Wczoraj odebrałem od niego list. Dziwny. Jakiś taki krótki, lakoniczny. Ciekawe, czy reszta chłopaków też go dostała.

Wyciągnął z kieszeni kopertę z kartką w środku. Faktycznie, treść nie powalała na kolana. Na środku ozdobnego papieru widniały trzy zdania napisane starannym charakterem pisma:

Dopiąłem swego. Dziękuję za wszystko, Przyjacielu. Byliście najlepszą paczką na świecie.

Jimmy

Willy zamilkł. Ja nie potrafiłem się odezwać. Przeczytałem list kilkakrotnie, po czym zerknąłem na znaczek, skąd został nadany. Nazwa miejscowości wydawała mi się znajoma. Po chwili mnie olśniło. Mijałem drogowskaz do Bare Pond podczas podróży do motelu. Jeśli dobrze pamiętam, musiałem skręcić z Route 110 i pojechać w stronę Chensey Hill. Na oko jakieś sto pięćdziesiąt mil. Dzisiaj niewykonalne, lecz jutro, gdy wytrzeźwieję i na powrót przyodzieję twardy pancerz samotnego wędrowca, mogę tam dotrzeć. Nie zdam Willy'emu relacji z wizyty, ale przynajmniej będę miał cel do dalszej wyprawy. Zawsze to coś nowego.

Bzdura. Mamilem samego siebie. Po prostu na własne oczy chciałem zobaczyć faceta, który przykuł mnie do barowego krzesła na tyle czasu, pozbawił kasy i lekkiego poranka bez bólu głowy. Pragnąłem skonfrontować rzeczywistość z moimi fantazjami, sprawdzić, która wizja okaże się potworniejsza. Czy bujna

wyobrażnia przerośnie wyświechtaną codzienność, czy ciężka codzienność okaże się ciosem równym prawemu sierpowemu wytrawnego boksera, powali mnie na kolana swoim okrucieństwem. Im dłużej o tym myślałem, tym bardziej zapętlełem się w pułapkach własnego umysłu, błdziłem w labiryntach brutalnych obrazów, najbardziej karykaturalnych slajdów w historii człowieczeństwa. Willie nadal nie wydał z siebie najmniejszego odgłosu, powoli zaczynał mnie denerwować. Nie po to sprzedaje się obcemu facetowi takie opowiadki, by później tępo wpatrywać się w opróżnioną szklankę, milknąć przed samym finałem. I jak tu okazywać uczucia, kiedy nawet podpici żule tak bezczelnie się z ciebie nabijają?!

Odstawiłem szklankę. Zbyt dużo wypilem, by zamawiać następną kolejkę. Za dużo zapłaciłem, by wziąć hamburgera na drogę. Za dużo usłyszałem, by tak po prostu wrócić do pokoju i położyć się spać. Mój mózg rozpędzał się niczym wyścigowe auto, a na horyzoncie nie było widać zakrętu, przed którym trzeba zwolnić. Alkohol skutecznie spowalniał mi koordynację, zasnuwał mgiełką obraz przed oczami, a umysł odłączył się od peletonu i poszedł w swoją stronę, prowadzony za rączkę przez przypalonego kalekę. Dobrze, że pęcherz zachował resztki rygoru i nie zrobił sobie wolnego, choć od dłuższego czasu błagał o litość. W krótkim przypływie paniki pomyślałem, iż ktoś dosypał mi do drinka tabletkę gwałtu. Nigdy wcześniej nie czułem się podobnie,miotany tyloma sprzeczными uczuciami. Motelowo łóżko wydawało się odległą oazą na środku rozgrzanej pustyni, sen brutalnie domagał się odrobiny zainteresowania, a głowa wręcz paliła się do drogi, kusiła obietnicą szybkiego rozwikłania tajemnicy jakiegoś życiowego popaprańca, któremu nie wiedzieć dlaczego poświęciłem tyle uwagi. Nerwowo potrzasałem łepetyną, chcąc odpędzić od siebie nieprzyjemne obrazy, przywołać coś ciekawszego, lżejszego, mniej absorbującego. Czemu nie wybrałem baru ze striptizem?

Chcąc zachować resztki godności, zdecydowałem się na opuszczenie lokalu. Z wachlarza ludzkich zachowań pozostała mi chyba tylko umiejętność utrzymania postawy pionowej i pożegnanie się, jeśli język nie stanął mi kołkiem. W duchu modliłem się, by nie stracić szklanki z lady lub nie przewrócić się przy wstawaniu z krzeselka. Nie chciałem psuć tak wspaniałej atmosfery panującej tu od kilku godzin, tego masowego transu dziesiątek zamyślonych głów, burzy emocji skrytych za nieobecnyimi twarzami, ogólnego rozmarzenia, taplania się we własnych życiorysach wśród nastrojowej muzyki i innych, podobnych do siebie ludzi. Te drżące przy niektórych stolikach ręce dałyby mi w twarz, gdybym wprowadził niepotrzebny zamęt, te wystukujące rytm nogi skopałyby mi dupę. Musiałem do samego końca trzymać fason. Nieznaczenie obróciłem się na krześle, czekając na opór wędrującej nogi Willy'ego. Nic. Zupełnie jakby historia dawnego przyjaciela przestała mieć nagle jakikolwiek sens. Właśnie dlatego rzadko się odzywałem. W zanadrzu czekało mnóstwo anegdot - w końcu też kiedyś chodziłem do szkoły, miałem przyjaciół, wrogów lub przeciętnych znajomych – ale osobiste przeżycia tracą cały swój urok, jak tylko ujrzą światło dzienne. Być może ktoś inny się nimi interesuje, ale dla nas wydają się kolejnym spalonym mostem, epizodem przeszłości, czymś, co zapominamy, by zapełnić głowę nowym pokoleniem wrażeń. Willy Szklaneczka wyglądał, jakby właśnie pozbył się sporego ciężaru, jakby wsadził palce do gardła i wyrzygał ostatnie powiązania z dzieciństwem i piętnem, jakie odcisnął na nim Jimmy. Jimmy - Twardziel. Co teraz będzie? Nie sądzę, by mój kompan silił się na powtórkę z kimś innym. Historia nieszczęśliwego przyjaciela dojrzała w nim od dłuższego czasu, czekając na podatny grunt. Dziś był dzień zbiorów. Willy wyrwał Jimmy'ego z korzeniami, a nasionko pamięci zasiał w mojej szumiącej głowie. Stałem się powiernikiem, nosicielem, kolejnym ogniwem w łańcuchu ewoluującej historii pewnego faceta.

Człowieka, który dopiął swego.

Nie zakluczyłem drzwi od pokoju. Przez minutę celowałem kluczem w dziurkę, aż wreszcie dałem sobie spokój. Prędzej dostanę nerwicy przy klamce niż trafię w to cholerstwo. W moim obecnym stanie miałem w dupie brutalny świat, gdzie ludzie zabijają się nawzajem dla kilku centów, gwałcą dla zabawy czy znęcają nad kimś dla sportu. Co może zdziałać jeden człowiek przeciwko masowej epidemii debilizmu?

Jak ktoś chce mnie okraść albo pociąć, proszę bardzo. Mam chudy portfel, nieważną kartę biblioteczną z Miejskiego Świata Książek w Maine, nerki z koszmarnie dużym przebiegiem czy wątrobę nadającą się tylko do podsmażenia na patelni i poczęstowania bezpańskiego psa, jeśli ten będzie dostatecznie zdesperowany, by ją zjeść. Jeśli ktoś uzna moją szacowną osobę za dobry cel na nocne tortury, mogę tylko z przekąsem pogratulować mu gustu. Na pewno nie będę krzyczał.

Zwaliłem się ciężko na łóżko i włączyłem telewizor. Ekran śnieżył przez chwilę, po czym ujrzałem końcówkę jakiegoś talk-show. Chyba kiedyś oglądałem jeden z odcinków, choć nie pamiętam gdzie. Widocznie program nie wywarł na mnie dużego wrażenia. Scenografia wyglądała tandetnie, jak wiejski festyn przeniesiony do telewizyjnego studia. Niewielka scena, trochę miejsca dla gospodyni show i kupa krzeseł dla widzów. Na niskim podeście na krzesłach siedziała parka – tępawy koleś i jeszcze bardziej inteligentna dziewczyna – a prowadząca program kobieta stała naprzeciwko nich, tłumiąc napady niekontrolowanego śmiechu kartkami scenariusza. Publika nie pozostawała dłużna. Napis w dolnym rogu ekranu głosił: JESSICA WOLI WIBRATOR OD PENISA SWOJEGO CHŁOPAKA! Dziewczę stanowiło chyba zagubiony fragment łańcucha ewolucji między toporkiem a korbą do uruchamiania samochodu (Dlaczego wolę wibrator? Hm... sama nie wiem, ale wolę, ten jego pitolek jakiś taki krzywy, krótki... hihi), facet słuchał rynsztokowych wyznań swojej partnerki z głęboką konsternacją, jakby zamiast małego kutasa rozważał problem głodujących dzieci w Afryce, publiczność niemal spadała z krzeseł, rechocząc jak szalona. Tylko gospodyni widowiska stała nieruchomo, rozbierając wzrokiem rozporek nieszczęśliwca. Po chwili ja sam dołączyłem do chóru szyderców, chichocząc pod nosem. Nie wiem, czy to dobrze czy źle. Po prostu nie mogłem się powstrzymać. Głupota tych dwojga była ewidentna, przeciągi w głowach mało nie wywiewały im oczu z orbit, a mimo to zdecydowali się pójść do tandetnego show, by w zamian za chwilę czasu antenowego kupić nieśmiertelną etykietę debili. Nie minęła nawet minuta, gdy znów pomyślałem o Jimmym. Uśmiech momentalnie zniknął z mojej twarzy. Wyobraziłem sobie siebie jako zepsutego nastolatka, dziecko tanich świerszczyków, niewybrednych inwektyw i podwórkowej oglady. W tej straszliwej wizji okładałem kijem młodego chłopca bez prawej nogi, biednego kalekę z poparzoną skórą na twarzy, dłoniach, torsie, wystraszonego człowieka kaszłającego krwią. JIMMY PALIŁ SIĘ RAZEM Z NIEWIERNYMI! – krzyczałem na całe gardło, pusząc się jak paw. Chwilę później następuje nieoczekiwane odwrócenie sytuacji; teraz to ja leżę na ziemi, a banda łobuzów przyrównuje mnie do najgorszego ścierwa. Zbiry kopią po żebrach, trącają patykami, pluja w twarz, nie wspominając o pomysłowych wyzwiskach. Czuję na plecach kolejne uderzenia, niedostatecznie mocne, by zrobić mi krzywdę, lecz na tyle celne, by po kilku powtórzeniach zadać ból. Nie potrafię opisać, kim w tamtym momencie jestem; wybrykiem natury, boskim żartem, kozłem ofiarnym, gównem na poboczu drogi, które każdy omija z daleka, byle tylko nie zahaczyć o nie podeszwą buta... a może wszystkim po trochu?

Wymierzyłem sobie solidny policzek. Koszmarna wizja nie odeszła bezpowrotnie, lecz oddaliła się na chwilę, a to samo w sobie stanowiło sukces. Na powrót spróbowałem znaleźć coś ciekawego w nocnym paśmie kablowym. Trafiłem na oficjalne ważenie przed walką jakichś bokserów wagi ciężkiej. Dwóch koleś w samych slipach po kolei prężyło muskuły, demonstrując klaszczącej publiczności groźne pozy. Obok nich stali trenerzy, po dwóch asystentów i cała masa zaplecza medialno-menedżerskiego – zgraja przydupasów w garniturach. Pośrodku sterczał wystrojony komentator.

- Zawodnik z Atlanty wniósł na wagę dziewięćdziesiąt kilogrrrrramóóów! – darł mordę. – Wielkie brrrrrawa!

- Przeciwnik z Omaha wniósł worek kartofli, kilogram śledzi i płyn do higieny intymnej – mruknąłem, znudzony do granic możliwości.

Wyłączyłem telewizor, rzucając pilota gdzieś w kąt pokoju. Na dziś miałem dość płytkich programów z motelowych kablówek. Przypominały mi to wszystko, przed czym uciekałem: ludzi, głupotę, pozory, zgubne przywiązania, destrukcyjne decyzje. Lepiej było wsiąść do samochodu, posłuchać cichego pomrukiwania silnika, dobrej muzyki z radia, wyłączyć zbędne odruchy; przestać kochać, współczuć, cieszyć

się, płakać. Emocje zawsze burzą porządek. Emocje prowadzą w ciemne zakamarki naszej natury, gdzie świat traci wyrazistość, a staje się zaledwie marną iluzją oczekiwań, areną walki o irracjonalne zachcianki i wydumane widzimisię. Z perspektywy mknącego samochodu wszystko nabiera potrzebnego dystansu. Ludzie stają się zamazanymi pionkami, domy mającą niczym widmowe fortece uwięzionych w środku dusz, w mroku nocy świecą czasami oczy kojotów lub innych zwierząt złapanych w światła reflektorów. Świat w końcu bierze przykład z milczących gwiazd. Przestaje pierdolić w kółko o tych samych człowieczych przywarach, zamyka niepotrzebne mordy, usypia tępe łby, daje odetchnąć prawdziwej przyrodzie. Lubię wsłuchiwać w pieśń nocy, w szeleszczące na wietrze lasy, powietrze śpiewające niespokojne melodie, deszcz wystukujący rytm życia, gniewne pioruny letnich burz. W takich chwilach wyciszam oddech, by odebrać jak najwięcej doznań, by nie przeszkadzać.

Sen nadszedł późno, o wiele za późno. Historia w barze głośniejszym echem odbijała mi się pod kopułą, tańczyła pieprzonego twista na jednej nodze. Gdy wreszcie zasnąłem, budzik przy nocnej szafce postanowił się odezwać. Stał w samym rogu mebla, więc nie mogłem tak po prostu sięgnąć ręką i go wyłączyć. Macałem drewnianą płytę, strącając wszystko, co tylko się dało. Nie pamiętam, o której udało mi się zapaść w sen, lecz teraz brzęczące cholerstwo oznajmiało mi swoim metalicznym jazgotem, że dochodzi jedenasta przed południem. Zza zasłoniętych rolet dochodziły do mnie odgłosy późno porannego życia. Ze zrzucanych na podłogę kłopotów wyszukałem zegarek i spojrzałem na ciemną kopertę; faktycznie, budzik nie kłamał. Wziąłem do ręki rozjuszony mechanizm, wyłączyłem alarm, po czym cisnąłem badziewie w kąt pokoju, niedaleko telewizyjnego pilota. Kiedy jak kiedy, ale dzisiaj postanowiłem sobie trochę pofolgować, przynajmniej w kwestii snu. Czekala mnie podróż, a przecież nie mogłem siadać za kółko w takiej kondycji. Mieszczuchy mogą sobie jeździć na pamięć, pyrkając z domu do pracy przez cztery skrzyżowania. Dla mnie każdy zakręt był obcy, każda droga nowa, każdy metr asfaltu potencjalnie niebezpieczny. Potrzebowałem maksimum koncentracji. Poza tym lubiłem spać. Jedzenie i błogi stan nieświadomości to ostatnie rzeczy, które zostały mi z normalnego życia. Miałem głęboko w dupie szukanie miłości, zakładanie rodziny, wychowywanie pędraków czy budowanie własnego domu i sadzenie jakiegoś pieprzonego drzewa, pod którym psy będą się załatwiać. Moim mieszkaniem był czarny Ford Bronco, dorobek mojej skromnej osoby mieścił się w walizce, a notoryczna zmiana otoczenia stała się moim nałogiem. Dzisiaj postanowiłem wyruszyć w drogę później niż zwykle, więc to zrobię, bez zbędnego tłumaczenia. Bo tak mi się, kurde, chce.

Pustka obudziła mnie jakoś przed zapadnięciem zmroku. Gdy ocknąłem się na chwilę koło południa, siedziała przy małym stoliku przy oknie, popijając kawę kupioną na pobliskiej stacji benzynowej. Sprawiała wrażenie rozdrażnionej, czyli była wściekła. Wolała okryć się kocem z mojego samochodu, niż położyć się koło mnie, i wcale nie chodziło o mój nieświeży oddech czy wyjątkowe dziś rozleniwienie. Dąsała się o bar, o Willy'ego Szklaneczkę, o to, że nie poświęciłem jej wystarczająco dużo uwagi, przyniosłem nostalgię do domu. Przyznaję, trochę mnie poniosło. No, cholernie mnie poniosło. Jimmy do tego stopnia zawładnął moją ciekawością, że opóźniłem godzinę wyjazdu i zmieniłem trasę podróży. Nic dziwnego, że Pustka się irtowała. W ciągu ostatnich kilkunastu godzin faktycznie zeszła na dalszy plan, straciła miejsce w mojej kruchej hierarchii na rzecz jakiegoś kaleki, dawnego przyjaciela miejscowego pijaczyny, a przecież i tak dawała mi sporo swobody. Dostawałem od niej kilka wieczornych godzin tylko dla siebie. Wtedy mogłem usiąść w barze, pogрузić się w nostalgii za czasami, których nie doczekałem, szansami, które zmarnowałem, marzeniami, o których nie śmiałem myśleć w jej obecności, przyszłości, w której jej brak. Była wymagająca, lecz konsekwentna. Nigdy nie szła ze mną do żadnej knajpy. Dobrze wiedziała, że niedługo później wrócę do motelowego pokoju pełen wątpliwości, wytrząsając z głowy resztki ulatującej tęsknoty za innym towarzystwem, a ona położy się koło mnie, przeganiając wszystko precz, na powrót czyniąc mnie odpornym na uczucia, emocje, zakazane wrażenia. To był trudny związek. Nic między nami ani na moment nie zwalniała, była niczym napięta struna. Pustka dawała mi poczucie wolności i

przekonanie, że poza nią świat jest kiepską grą pozorów; jak matrymonialne ogłoszenia w codziennych gazetach – na zdjęciu atrakcyjna blond cycatka, w realnym wydaniu potwór z Loch Ness. Pustka oszczędzała mi zbędnych rozczarowań, pod tym względem spisywała się znakomicie. Wyostrzyła mój charakter, zmiotła pod dywan tępą naiwność czy dziecięcy rachunek sumienia, zaopatrzyła w chłodny sceptycyzm, nonszalancką niechęć do ludzi, pogardę do schematów i powszechnie uznanych wzorców postępowania. W kwestii utrzymania rygoru była lepsza od elity strażników z Shawshank. Poza barowymi wieczorami musiałem się nieustannie pilnować. Każde niepotrzebne spojrzenie, niewinny uśmiech, zbyt długa rozmowa przy sklepowej kasie... wszystko mogło być pretekstem do niezłej awantury. A pokusy czyhały na każdym kroku. Gdyby markety albo stacje benzynowe obsługiwały roboty, wszystko byłoby łatwiejsze. Słowo daję, czasami miałem ochotę zastąpić Willa Smitha w „Jestem legendą”; spacerować z psem, gadać do manekinów... W takim świecie Pustka piałaby z zachwyty, pękała z dumy.

Zwlokłem się z łóżka, by w końcu wziąć prysznic i zjeść coś przed wyjazdem. Zaczynało się ściemniać, pogoda jak na tę porę roku dopisywała, drogi w środku tygodnia powinny być względnie czyste; idealne warunki do jazdy. Pozostało tylko udobruchać Pustkę. Widziała co się święci, odczytała to z moich myśli. Po jej minie wywnioskowałem, że nie jest zadowolona z moich... naszych dzisiejszych planów. Przez tyle lat razem z nią budowałem w głowie fortecę chroniącą mnie przed wszelkimi uczuciami, umacniałem ściany, kopałem rowy pełne krwiożerczych bestii czekających na głupców, którzy planowali przekroczyć jej próg, a teraz poważnie naruszyłem fundamenty, dając się wkręcić w historię jakiegoś Jimmy’ego. Zajeździłem na śmierć cztery bardzo dobre samochody, przemierzyłem tysiące tysięcy kilometrów, stoczyłem masę pojedynków z umysłem pragnącym bliskości, rozmowy, uwagi, odrobiny aprobaty, a teraz z własnej inicjatywy pakowałem głowę pod topór. Rozumiałem Pustkę, jej obawy, złość, rozczarowanie moim zachowaniem. Lecz ten pieprzony Jimmy nie dawał mi spokoju. Był jak japońska taśma z kłutwą, a ja wcisnąłem PLAY. Teraz mogłem tylko czekać na przeznaczenie, przekonać się, jakie będzie.

Podróż do Jimmy’ego w pewnym stopniu mnie odprężyła. Na zewnątrz zapadła noc, Pustka siedziała przyczajona na tylnym siedzeniu – zawarliśmy umowę, układ bezpieczny dla obu stron – podziwiając rozległe połacie ziemi dokoła. Teraz, gdy pomysły przeszły w czyn, a głowę absorbowały kwestie rozglądania się dokoła w poszukiwaniu dzikiej zwierzyny gotowej wpaść mi przed maskę, wszystko nabrało zdrowego dystansu. Zacząłem traktować Jimmy’ego jak wyzwanie, byłem jak bohater gry komputerowej sprawdzający kolejną lokację; wchodzę, wybijam wrogów, zbieram amunicję oraz lekarstwa, czytam wskazówki, a później idę dalej. Dopóki będę trzymał się schematów, nic mi się nie stanie. Nawet Pustka wyglądała na spokojniejszą. Nadal się dąsała, lecz momentami wylapywałem jej zaczepne spojrzenia, mimowolne uśmiechy; wszystko zaczynało wracać do normy. Ona chyba też zauważyła, że poza tą jedną zagadką nie zamierzam odstawać od starych przyzwyczajzeń. Tej nocy zaskoczyła mnie bardziej niż kiedykolwiek. Bare Pond uplasowało się zaraz za nią.

To nie było nawet przeciętne miasteczko. Główna ulica i dwa skrzyżowania, ot co. Domy wyglądały na opuszczone, gruntowe drogi na nieprzejezdne, jakby okolicę nawiedziła potężna nawałnica, a ludzie zamiast reperować mieszkania czy sprzątnąć ulice, zawinęli się na pięcie i zwyczajnie odeszli... lub wszyscy zginęli. Brakowało tylko śladów podeszew na mokrej ziemi. Przejechałem kawałek głównej ulicy, lecz później musiałem iść na piechotę. Zgasilem silnik, wpatrując się w mrok przede mną. Gdzieś miałem latarkę, lecz za cholerę nie pamiętałem gdzie. Kilka lamp sodowych rzucało nikłe światło na zniszczony chodnik. Wysiadłem. Nie było sensu dłużej czekać. Czułem się jak nieświadomy zagrożenia przybysz w miasteczku opętanym przez jakiegoś zabójczego wirusa, środek zmieniający tutejszych w krwiożercze kreatury. Sceneria skutecznie pomagała mojej wyobraźni; powybijane szyby, połamane drzewa, zniszczone samochody, czerwone ślady dokoła. Swoją drogą to dziwne, że nikt się tym nie zainteresował, odpowiednie służby nie odszukały rannych, nie uprzątnęły bałaganu, nie przywróciły porządku. Mieścina może nie należała do największych, to prawda, ale... no, dziwne.

Tylko jeden dom rzucał się w oczy. Tylko na tamtym podjeździe dostrzegłem pamiątki ludzkiej ingerencji. Gałęzie były częściowo odrzucone, by nie blokować wyjścia, na ziemi widniały ślady opon, szerokich felg jakiegoś sportowego samochodu, drzwi werandy stały otworem, jakby ktoś pośpiesznie chciał opuścić tę okolicę. Wystarczyło rozejrzeć się dokoła, by pogratulować takiego pomysłu. Sam miałem wielką ochotę wrócić do samochodu i uciekać gdzie pieprz rośnie. Tylko zagadka listu Jimmy'ego pchała moje nogi do przodu, stopy wyprzedzały myśli, rozsądek przegrywał walkę z prymitywną ciekawością. Mogłem tylko dać nieść się fali, czekać, aż jakiś bandzior przyczajony w mroku skręci mi kark albo wybebe-szy na żywca.

Przekroczyłem ganek i wszedłem do domu. Chciałem krzyknąć jakieś hasło, coś w stylu „Jestem tutaj! Nie mam przy sobie portfela, a kluczyki do auta przed chwilą połknąłem!”, lecz uznałem, że nie ma sensu niepotrzebnie kusić losu. Stukałem palcami we wszystkie włączniki świateł, czasem witał mnie syk przepalanej żarówki, czasem nikłe światło z żyrandola, czasem gołe kable strzelały mi przed oczami niczym groźne kobry. Próbowiałem jednocześnie rozglądać się boki, szukać przełączników, wyłapywać jak najwięcej szczegółów otoczenia, a przy tym zapamiętać najbliższą drogę ucieczki. Nic z tego. Lepiej, by nie przydybał mnie żaden złodziejasek lub psychopata, bo jeśli nie zginę z jego ręki, prędzej złamię sobie kark na przewróconym meblu lub nadzieję się na kable pod napięciem. Na samym końcu korytarza zauważyłem cienki snop światła, przebijał się przez szparę w niezamkniętych drzwiach. Chwilę później poczułem potworny smród. Zgiąłem się wpół, zasłaniając twarz ręką. Im bliżej pokoju byłem, tym odór przybierał na sile. Z każdym kolejnym krokiem uświadamiałem sobie, że bariera dłoni na nic się tutaj zda; wyglądałem jak żona nakrywająca męża na zdradzie, a nie dorosły, przejęty zgrozą facet. Policzyłem do trzech, po czym wciągnąłem powietrze jak urlopowicz zachłystujący się pierwszym, dziewiczym haustem morskiej bryzy. Momentalnie złapałem się za brzuch i zwymiotowałem na szary dywan. Wytarłem usta rękawem bluzy, terapia szokowa najwyraźniej podziałała, bo fetor jakoś dziwnie zelżał. Nadal drapał nozdrza i przeszkadzał w oddychaniu, lecz czułem, że teraz mogę spokojnie wejść do pokoju, nie obawiając się utraty przytomności czy zafajdania podłogi (w końcu już nie miałem czym). Pchnąłem drzwi, ustąpiły lekko, z wyraźnym skrzypnięciem, zatrzymując się w połowie drogi, jakby natrafiły na jakąś przeszkodę. Naparłem na nie mocniej, przez chwilę zawiasy protestowały metalicznym jazgotem, a po sekundzie runąłem na podłogę, gdy nogi truposza ustąpiły. Upadłem wprost w kałużę cuchnącej papki, mimo że nie miałem czym rzygać, zaryzykowałem. Przewróciłem się na plecy i zacząłem szurać tyłkiem po zniszczonym dywanie, jak człowiek uciekający przed ogromnym pajakiem. Dopiero kiedy wyrznąłem po tylicą w kant szafy nocnej, przystopowałem. Zwłoki musiały tu leżeć od jakiegoś czasu, przeszło mi przez myśl. Ciało było rozdęte, nabierało ciemnozielonego koloru, modny garnitur rozpychały gnijące wnętrzności, z ran i strzaskanej czaszki sączyły się cuchnące płyny, oczy mało nie wypadały z oczodołów. Krzyknąłem. Nie ze strachu. Po prostu nic innego nie przychodziło mi do głowy, a nadmiar nieprzyjemnych wrażeń zaczął działać na mnie destrukcyjnie. Potem znowu krzyknąłem, i jeszcze raz. A co! Z ociąganiem podniosłem się na nogi i rozejrzałem się dokoła. To na pewno był dom Jimmy'ego; z półek pospadały tony tabletek czy maści, w rogu pokoju tkwiła samotnie zapasowa maska tlenowa, było sporo książek, telewizor z wybitym kineskopem.

I zdjęcie.

Fotografia przypięta pinezką na korkowej płycie. Przedstawiała pięciu młodych chłopców objętych przyjacielskim uściskiem na tle nieczynnej chyba fabryki. Wszyscy mieli zadowolone miny, lecz dzieciak w środku uśmiechał się najszerzej, choć wyglądał, jakby w wieku jedenastu lat przeżył wszystkie katalizmy świata. Prawą nogę trzymał w niedopasowanej protezie, jego skóra przypominała czerwone rybie łuski, a postura przywodziła na myśl ofiary wojennych głódówek zamknięte w obozach zagłady. Cholera jasna, a on się uśmiechał! Ścisnął kurczowo ramiona kolegów, jakby byli ulotnym złudzeniem i lada moment mieli zniknąć, śmiał się do obiektywu, miał spojrzenie okolicznego kozła ofiarnego, który po długich poszukiwaniach wreszcie odnalazł bratnie dusze, w jego oczach płonęła radość, ale też strach

przed utratą kogoś wartościowego. Koszmarna mieszanka.

Fundamenty mentalnego muru po raz kolejny zadrżały. Wizerunek młodego Jimmy'ego i jego przyjaciół wbijał mi się w pamięć grubym rylcem. Wiedziałem, że to zdjęcie nie opuści mnie do końca życia, będzie przewijać się w głowie jak złośliwy slajd. Schowałem fotografię do kieszeni, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Obok korkowej tablicy leżała duża koperta, a w niej jakiś list. Pierwotnie chyba wisiał na drzwiach, lecz huragan zrobił w pokoju niezły bałagan. Wielki napis na odwrocie głosił: RACHUNEK SUMIENIA. Wyjąłem kartkę i zacząłem czytać.

Dzisiaj odwiedził mnie ktoś szczególny. Nie mogę powiedzieć, że spodziewałem się tej wizyty, ale z całą stanowczością stwierdzam, iż w głowie kielkowało mi przeczucie niezwyklego spotkania, zapowiedź wyrównania rachunków.

Mężczyzna zapukał zwyczajnie do drzwi, a kiedy krzyknąłem, wszedł do środka. Miał na sobie równo skrojony garnitur, drogie spinki przy mankietach koszuli, markowe buty najwyższej jakości, w ręku trzymał skórzaną torbę z jakiegoś paryskiego domu mody. Wyglądał jak ekskluzywny adwokat, ktoś, kto za odpowiednie (czytaj – niebotyczne) pieniądze obroni cię w sądzie nawet za zabójstwo papieża. Gdy mnie spostrzegł, wyprostował się nagle, jakby mój widok na ułamek sekundy wzbudził w nim odrazę. Wcale mu się nie dziwię. W końcu miałem lustro. Siedziałem niezdarnie na tapczanie w samych slipach, smarując skórę maścią. Obok mnie spoczywała wymagająca wymiany proteza, a po drugiej stronie maseczka do podawania tlenu, gdybym nagle zapragnął mocniejszej dawki powietrza. Facet przyjrzał się wszystkiemu z dziwną mieszanką ciekawości, strachu i żalu. Potem przemówił.

- Dzień dobry.

- Nie zauważyłem.

- Wiesz, kim jestem?

- Akwizytorem? Komornikiem?

- Nie, żartownisiu. Jestem Bogiem.

- Czyli z atomowego odkurzacza nici?

Gość – czy raczej Bóg – potrząsnął głową, po czym wykonał przede mną znak krzyża. Miał gładkie dłonie człowieka, który nigdy nie zaznał rozkoszy fizycznej pracy; skaleczeń, oparzeń, pęcherzy. Jeśli oczekiwał ode mnie padania na kolana, to szczerze mu współczuję. Niech sobie będzie kim chce, ale jeżeli faktycznie jest tym, za kogo się podaje, to nie mam dla niego żadnej dobrej nowiny. Co najwyżej stary odkurzac.

- Tak się odwdzięczasz za cud stworzenia?

- Jaki cud, taka wdzięczność – odpowiedziałem, spoglądając na siebie z pogardą.

- Przyznaję – zachnął się elegancik – może nie wszystko poszło jak trzeba. Prawdę mówiąc to nie pamiętam twoich akt, chyba wtedy pracowałem nad kartoteką kogoś innego. Jego też nie pamiętam, ale miej na uwadze, że twój potencjał nie poszedł na marne.

- Wszyscy święci, za ulgą! – klasnąłem w dłonie. - Od razu czuję się lepiej. Kto wie, może moje podzespóły przypisałeś jakiemuś hollywoodzkiemu amantowi? I dobrze. Niech sobie zgarnia forszę, ćpa za filmowe gaże albo dyma wszystko, co ma duże cycki i zgrabne nogi. Odlóżmy na bok interesy. Przyszedłeś po coś konkretnego czy chciałeś tylko oznajmić, iż nie byłem godzien odrobiny zdrowej skóry, kompletu kości i normalnej rodziny?

- Chciałem powiedzieć, że mimo wszystko cię kocham – odparł Bóg – i że jest mi przykro.

Na ten moment czekałem, jakby tryby w maszynie wszechświata zaskoczyły i wszystko znalazło się na swoim miejscu. Wyciągnąłem spod poduszki rewolwer i strzeliłem w brzuch. Huk wystrzału zabrzmiał w zamkniętym pokoju jak wybuch kuli armatniej. Do odgłosu broni dołączyło silne szarpnięcie, zaraz potem poczułem zapach prochu. Zrobiłem to, pomyślałem nie bez strachu. Pierwszy raz do kogoś strzelałem, i to jeszcze do kogo! To nie napad na stację benzynową, gdzie spanikowany szczył rani kasjerkę w ramię i ucieka z paroma dolcami zgniecionymi w kieszeni bluzy; to był cholerny zamach stanu, zbrodnia niewy-

*baczalna przez żaden sąd. Bóg wypuścił ze świstem powietrze, wylądował na tyłku, po czym złapał się za wzbierający krwią materiał. Na jego twarzy gościł wyraz autentycznego zaskoczenia; na mojej też. Nie przypuszczałem, że pójdzie mi tak łatwo, że morderstwo najwyższego majestatu sprowadzi się do po-
ciągnięcia za spust małej pukawki. Skoro był tym, za kogo się podaje, to powinien to przewidzieć. Wy-
sunąć rękę i zatrzymać kulę, jak Keanu Reeves w słynnym filmie braci Wachowskich. Do licha, przecież
pocisk nie powinien nawet go drasnąć! A mimo to facet podający się za największego stwórcy
wszechczasów opierał się o ścianę, tonąc w rosnącej kałuży krwi. Z trudem łapał powietrze, telepało nim
jak Brianem Salzbergiem w pierwszych scenach „Begotten”. Czy to możliwe, że ostoja ludzkości, posia-
dacz największej skrzynki pocztowej na całym świecie, właśnie dokonywał żywota? Z każdą życiową pre-
tensją zwracałem się właśnie do niego, przeklinałem za życie, które mi dał, ludzi, którzy traktowali mnie
jak gówno, wszystko, w czym przyszło mi funkcjonować jak cholerny worek treningowy.*

*Niedbale założyłem protezę i zszedłem z łóżka. W dłoni wciąż trzymałem rewolwer. Jakoś nie mogłem wy-
puścić go z dłoni. Padłem na kolana przed konającym Bogiem. W ostatniej udało mi się wybronić przed
upadkiem, bo proteza prawie spadła z luznego zacisku.*

*- W dzieciństwie miałem czwórkę przyjaciół. Prawdziwych przyjaciół. Bali się mnie, miałem tego świa-
domość, lecz czułem, że poza strachem coś nas łączy. Jakaś więź, pokrewieństwo dusz, telepatyczne zro-
zumienie, takie bzdety. Bardzo często powtarzałem im, iż nie zamierzam sądzić nikogo z ludzi, dla których
byłem rekwizytem z planu jakiegoś horroru klasy B. Nie znałem ich, więc nie miałem prawa do osądów.
Postanowiłem poczekać z moimi spostrzeżeniami do dnia, kiedy stanę oko w oko z Bogiem. Kiedy dowiem
się, co poszło nie tak. Z nimi. Ze mną. Z Tobą.*

*Bóg podniósł głowę. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, z ust pociekła strużka krwi. I czy w tych niebieskich
oczach nie dostrzegłem strachu, spojrzenia zwierzęcia złapanego w światła reflektorów pędzącego samo-
chodu? Na pewno nie tak wyobrażał sobie tę wizytę.*

*- A teraz ten dzień wreszcie nadszedł – westchnąłem z rozmarzeniem. – Nawet nie wiesz, jak strasznie się
cieszę, że w końcu mogę pozbyć się tego straszego ciężaru, jak ciężko było tłumić w sobie tyle emocji,
słów, nienawiści. Będę się streszczał, bo powoli się kończysz, mistrzuniu. Swoją drogą jestem rozczaro-
wany. Zachowałeś się jak kiepski gangster w przeciętnym westernie z lat osiemdziesiątych; kulka w be-
bech, a ty padasz na ziemię. Czy wyglądam jak pieprzony John Wayne? Owszem, po wszystkich tych ma-
ściach śmierdzą, jakbym od wieków nie brał kąpieli, ale nie przesadzaj. Jeśli chodzi o modlitwę, to mam
tylko jedną małą sprawę: miej na uwadze moich przyjaciół, ok.? Zasużyli na VIP-owskie wejściówki na
twoją nieszczęsną łękę.*

*Przyłożyłem lufę do spoconego czoła Boga. Zamarł, jakby ktoś przyłożył mu do kręgosłupa rozżarzony
pręt. Już nie był taki gadatliwy.*

- Reszta może pocałować mnie w dupę!

*Pociągnąłem za spust. Pocisk rzucił martwą głowę o ścianę i zostawił na niej czerwone skrzepy. Parę se-
kund później nadeszło trzęsienie ziemi, najpotężniejsze, z jakim się z życiem spotkałem. Przyłożyłem lufę do
skroni, czekając na moment, aż sufit zwali mi się na głowę, by w razie czego skrócić sobie odrobinę cier-
pień. Z półek pospadały moje płyty i książki, maść na oparzenia odstawiła fikołka i teraz rozlewała się po
narzucie łóżka, aparat tlenowy wyrzucił o jedną z szaf. Dopiero wtedy przestraszyłem się nie na żarty.
Wolałem strzelić sobie w łeb, niż umierać z braku powietrza pod stertą gruzu. Po dwóch czy trzech mi-
nutach wszystko ucichło, skończyło się równie nagle, jak zaczęło. Nadal żyłem, nadal znajdowałem się w
swoim pokoju, mocno teraz zdemolowanym. Ale żyłem! To dopiero niespodzianka! Strzeliłem Bogu
między oczy, a świat stać było tylko na krótki atak kaszlu, przeciągłe pierdnięcie. Zwłoki wciąż spo-
czywały na podłodze, a wstrząsy tylko wylały zawartość roztrzaskanej czaszki na zewnątrz. Głowa nies-
zczęśnika leżała w kałuży białobordowej papki, niewidzące oczy patrzyły gdzieś w kąt pokoju na kupkę
pozrzuconych gratów.*

Ubrałem się i podniosłem z ziemi strzaskany aparat tlenowy. Złapałem za rączkę butli, przechodząc nad

truchłem Boga. Po drodze zabrałem kluczyki do jego samochodu. Skoro taki występек uszedł mi płazem, to nic nie stoi na przeszkodzie, by wymierzyć sprawiedliwość paru osobom, które zamieniły moje życie w piekło. Popelnilem najgorszą ze zbrodni, reszta będzie tylko marnym przypisem, co nie? Z tą myślą wkroczyłem w ciemną, chłodną noc. Póki starczy sił. I tlenu w butli. Jeżeli to w czymś pomoże, to mi też jest przykro. Ha ha!

Nagle ktoś złapał mnie za ramię. Pograżony w zadumie nad listem nie zauważyłem, że ktoś wchodził do środka. Podskoczyłem. Oczyma wyobraźni widziałem sterczące przede mną zwłoki Boga; napuchnięte zgniłozielone ciało, cuchnące płyny wylające skąd się tylko da, pogruchotaną czaszkę ze zwisającymi glutami, które kiedyś były żywą tkanką, uśmiech, spod którego wystaje monsturalny czarny język. Stwór poprawiał garnitur, dopinał guziki, prostował krawat; wszystko ledwo trzymało się ciała, wnętrzności syczały przy każdym ruchu, a rany uwalniały koszmarnie gazy. Potem usłyszałem jego głos, choć bardziej przypominał bulgot człowieka mówiącego pod wodą.

Kocham cię. I jest mi przykro.

Chwilę później chłodna ręka ostro zdzieliła mnie w policzek. Odwróciłem głowę, nie odróżniając jawy od potwornego snu, wszystko wyglądało jak surrealistyczny film puszcany na ogromnym kinowym ekranie. Obraz falował, znikał, powracał, lecz jakiś inny, jakby zasnuty różnokolorową mgiełką, w której czaiło się coś niepokojącego.

Pustka wyrwała mi z ręki list. Przeczytała go, złożyła kartkę... moment, czy aby na pewno czytaliśmy to samo? Różnica w odbiorze była kolosalna. Ja mało nie dostałem na łeb, Pustka potraktowała spowiedź Jimmy'ego jak ulotkę z supermarketu albo przedwyborcze gówno wciskane obywatelom. Spojrzałem w jej oczy, czując się jak podczas lądowania samolotem. Nagła zmiana ciśnienia, lekki wstrząs podczas kontaktu z ziemią... w końcu zacząłem odzyskiwać łączność z rzeczywistością. Znów byłem w pokoju wśród porozrzucanych beładnie kłopotów, niedaleko spoczywały śmierdzące zwłoki Boga, a Pustka jak gdyby nigdy nic schowała list do koperty i włożyła do wewnętrznej kieszeni lekkiego płaszcza. Zachowywała się jak przyjaciółka odbierająca nawalonego kumpla z ostro zakrapianej imprezy; dziewczyna obudzona w środku nocy, wkurzona, a jednak czująca pewien rodzaj człowieczej odpowiedzialności za drugą osobę. Widok całego tego rozgardiaszu czy ciała w zaawansowanym stanie rozkładu nie robił na niej żadnego wrażenia. Po prostu weszła do pokoju, czubkami butów utorowała sobie drogę, a plamy gnilnych ocieklin czy krwawych rozbryzgów ominęła niczym kałużę na zalanej deszczem ulicy. Gdy spojrzała mi w oczy, poczułem głęboką wdzięczność. Dotychczas sprawowałem nad nią pieczę, nierzadko traktując jak rozwyrzoną smarkulę, kiedy odstawiała sceny zazdrości. Teraz to ja poczułem się dzieckiem, małym chłopcem zagubionym wśród uraczonych ulewą cmentarnych nagrobków, obawiając się, że lada moment jakieś ciało wypłynie z czarnej wody i schwyci mnie za kostkę. Pustka wkroczyła na grząskie ziemie, a jej smukła dłoń świeciła w mroku nocy niczym promień nadziei. Ująłem tę rękę i razem wyszliśmy z domu. Cieszyłem się, że doświadczyliśmy tego wspólnie, choć początkowo wcale nie miałem takiego zamiaru. Chyba chciałem zgrywać bohatera, odkryć coś strasznego, stawić temu czoła, a potem wsiąść jak gdyby nic do samochodu i powiedzieć z chłodną obojętnością: „Tam nie ma nic ciekawego, dzieciно. Spadajmy stąd, mam ochotę na podwójnego cheeseburgera.” Tamtego dnia dowiedziałem się, że w pojedynkę nic bym nie zdziałał. Człowiek potrzebuje drugiego człowieka, by razem stawiać czoła przeciwnościom. Jeśli człowiek nie chce drugiego człowieka, musi pokochać Pustkę. Nie ma innej opcji. Byłem głupi myśląc, że mogę ciągnąć dwie sroki za ogon, trzymać fason outsidera, jednocześnie traktując Pustkę z bezpiecznym dystansem, niczym spowszedniałą dziewczynę, z którą łączy mnie tylko czas i brak innych kobiet.

Się porobiło!

Ten bar jakoś nie przypadł mi do gustu. Brakowało mi atmosfery z „Broken Doors”; milczących ludzi, nastrojowej muzyki, przyjemnej mgiełki ludzkich życiorysów unoszącej się gdzieś ponad głowami, atmosfery zatrzymania w czasie i przestrzeni. Tutaj klienci co chwila trącali się kuflami, narzekali na słabą potencję, hemoroidy, spóźnione miesiączki, karkołomne biegunki. Czułem, jakbym zamiast w barze znalazł się w poczekalni wiejskiej przychodni. Chyba dzisiaj pójdę do motelu wcześniej niż ostatnio, wcześniej niż kiedykolwiek. Pustka będzie zaskoczona. Zwłaszcza teraz nie chciałbym dawać jej powodów do niepokoju, kiedy nasza więź znacznie się wzmocniła. Po wydarzeniach w Bare Pond dała mi spory kredyt zaufania, sama naciskała, bym poszedł do jakiejś knajpy, powrócił do starych przyzwyczaję. Tym razem to ja się ociągałem, obawiając się kolejnego Willy’ego, kolejnej historii, kolejnego armatniego pocisku na moją fortecę samotności. Jimmy brutalnie odcisnął swoje piętno, druga taka bajeczka jak nic wpędziłaby mnie w ciężką depresję. Zacząlbym myśleć o wszystkich zapomnianych przez (zmarłego) Boga ludziach, zdałbym sobie sprawę z ogromu cierpienia wokół mnie, a potem wziąlbym granat i wsadził sobie do ust. Bez zbędnego myślenia; tylko ja, ogłuszający huk eksplozji, a potem brejowaty deszczyk. Chyba dlatego musiałem gdzieś wyjść. Knajpy były dla mnie jak umysłowa toaleta, gdzie zostawiałem wszystko to, co zatruwało mi myśli, burzyło chłodny spokój. Nie zwalczę tych epizodów nostalgii. W pewnym sensie bylbm uzależniony od przydrożnych barów tak samo jak od Pustki. Potrzebowałb regularnych wizyt wśród ludzi; na tyle wycofanych, by nie nawiązywali ze mną rozmowy, na tyle cielesnych, bym mógł zobaczyć ich na własne oczy. Bez tego moja mentalna forteca upadłaby w kilka miesięcy. Bylbm jak dziecko, które musi dotknąć gorącego pieca, żeby wiedzieć, iż może stracić palce, musi poczuć ból przypalanej skóry, żeby wmówić samemu sobie niechęć do rozgrzanych przedmiotów. Myślę, że właśnie dlatego uległb namowom Pustki, w przeciwnym razie w samochodzie bylbm nie do życia; zgorzkniałby, zamysłony... ciepłe kluchy. Przeszłość jest jak owoc; rozwija się, kumuluje, lecz w pewnym momencie musisz ją albo zjeść, albo wyrzucić zgniłka. W życiu nie ma miejsca na koszyki pełne sfermentowanych zbiorów tego, co za nami.

Siedziałb przy barowej ladzie, patrząc się tępo w ekran telewizora. Serwis informacyjny donosił o kolejnych morderstwach, gwałtach, kradzieżach, oszustwach; witamy w dwudziestym pierwszym wieku. Obok mnie dwójka znajomych dyskutowała o aktualnych zbiorach kukurydzy, szansach Red Soxów na wygraną w tym sezonie oraz oceniała rządy aktualnego prezydenta. Co chwila przysłuchiwaliby się wiadomościom, by do puli tematów dodać jeszcze krótki komentarz na temat wzrostu przestępczości w ostatnim czasie.

- Mówię ci, Greg – zaczął jeden – świat schodzi na psy. Zobacz, co się dzieje. Niedługo będę wychodził do pracy z kijem baseballowym w ręku.

- Po co? – rzucił drugi. – Przecież i tak nie masz przy sobie pieniędzy.

- No nie, ale nadal mam cholernie seksowne pośladki, a zboczeńców coraz więcej.

- Pieprzony pederasta. Zobaczysz, Bóg ześle cię do piekła, będziesz przerzucał półpłynne gówna łopatką z piaskownicy.

- Jeśli tak, to błagam cię, przestań żreć fasolę.

Barman zerkał co jakiś czas na ekran telewizora. W jego wyglądzie było coś znajomego, nie opuszczało mnie przeczucie, że gdzieś widziałb kogoś podobnego - brata, ojca, może syna.

- Vince, zmień kanał – poprosił Greg. – Rzygać się od tych wieczornych popłuczyn. Zaraz telewizor dostanie zębów i rzuci się nam do gardeł. Gdzie tu jest Bóg, do cholery?

- Bóg umarł.

Goście przestali się śmiać i posłali mi zdziwione spojrzenia. Gardłowy rechot zniknął jak ucięty nożem. W ułamku sekundy odniosłb wrażenie, że za wtargnięcie na teren ich pogaduszek dostanę niezłe lanie. Ich twarze wyrażały skrajne zaskoczenie, jakbym na wyjątkowo smutnym pogrzebie doskoczył do ambony z jakimś kiepskim dowcipem. Barman odłożył butelkę na półkę, taksując mnie podejrzliwym wzrokiem.

- Co ty nie powiesz, kolego – zachnął się jeden z facetów obok, odstawiając powoli kufel z piwem. Początkowy gniew ustąpił, jego miejsce zajął chłodny sceptycyzm. – Pewnie zapił się na śmierć, co?
- Albo dostał zawału, wypełniając zeznanie podatkowe – mruknął drugi.
- Nie – odparłem. – Miał na pieńku z jednym gościem, takim, który zawsze dopina swego.
- Ze Stevenem Seagalem? – wyskoczył barman.

Koledzy znowu buchnęli gromkim śmiechem, klepiąc się po udach. Nie miałem im tego za złe. Na ich miejscu pewnie zachowałbym się tak samo. Za to Vince przypatrywał mi się z rosnącym zniecierpliwieniem. Wyciągnąłem z tylnej kieszeni spodni zdjęcie pięciu chłopców, po czym przesunąłem je po ladzie. Wszyscy trzech przywarli głowami do siebie, gapiąc się na fotografię. Vince niemal szorował nosem po barowym blacie.

To był moment, na który czekałem od chwili, gdy tu wszedłem. Wiedziałem, że Jimmy na zawsze pozostanie w mojej głowie. Nie mogłem zapomnieć o gościu, który mało nie rozbił mojej wieloletniej żałyłości z Pustką, jednak teraz czułem, jakby Jimmy krążył wokół myślowego pałacu i naprawiał uszkodzone mury cegła po cegle, jakbym idąc jego tropem dokonał przemiany. Odetchnąłem z ulgą. Skoro dawniej miałem się za chłodnego samotnika, to teraz awansowałem do rangi zimnego skurwiela. Prawdę mówiąc, czułem się z tym całkiem fajnie. Pustce powinno wystarczyć, mnie też; w końcu grunt to samoakceptacja.

Podniosłem się z krzesła. Czułem, że pozbywam się dużego ciężaru, że teraz wszystko będzie dobrze, lepiej niż kiedykolwiek. W głośnikach IamX śpiewał właśnie „The Stupid, The Proud”, ciekawszej puenty nie mogłem sobie wymarzyć. Rzuciłem banknot obok zdjęcia. Vince chciał coś powiedzieć, lecz był zbyt zszokowany, by ubrać myśli w słowa.

Wyręczyłem go.

- Ma na imię Jimmy. I jest cholernym twardzielem.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

ipsylon, dodano 09.02.2015 15:44

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.